

Andrzej Busza

University of British Columbia, Kanada

NAGRODA IM. KOŚCIELSKICH 1962

Niedawnym laureatom łatwiej przyjdzie wspominać okoliczności związane z wręczeniem nagrody im. Kościelskich niż mnie, laureatowi z 1962 roku, który musi nieźle natężyć pamięć, żeby przywołać wydarzenia sprzed pół wieku¹. Ileż zaszło od tamtego roku zmian – nie istnieje już PRL, Polska jest niepodległa, emigracja zmieniła się w diasporę, a nagrodę Kościelskich wręcza się w Kraju. Co do mnie, to w ciągu tego półwiecza ukończyłem anglistykę i prowadziłem wykłady z literatury angielskiej i komparatystyki na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii w Vancouver. Przez rok wykładałem gościnnie na Uniwersytecie w Nicei. Wydałem sześć tomików poetyckich, dwa tomiki przekładów oraz szereg prac naukowych. Kilka lat temu przeszedłem na emeryturę.

Jednym zdaniem – minął spory szmat mojego życia.

A teraz zróbmy zoom na rok 1962. Był to ponury rok. Trwała wojna w Wietnamie. Dobiegało kresu powstanie w Algierii. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki maniacko prześcigały się w próbach bomb jądrowych. W październiku o mało co nie doszło do katastrofy globalnej, znanej z historii jako kryzys kubański. Jednocześnie w Jerozolimie powieszono Eichmanna, w Watykanie rozpoczął się Sobór, a Beatlesi zdobywali coraz większy rozgłos. Gombrowicz mieszkał jeszcze w Argentynie, Miłosz niedawno przeniósł się do Berkeley i wydał *Króla Popiela*, a w Warszawie ukazał się *Barbarzyńca w ogrodzie* Herberta.

Wiadomość o przyznaniu mi Nagrody im. Kościelskich była całkowitym zaskoczeniem. Mój dorobek był skromny. Większość czasu spędzałem w bibliotece British Museum (gdzie poznałem Herberta), pisząc pracę o polskim zapleczu

¹ Jury Fundacji im. Kościelskich po raz czterdziesty ósmy przyznało Nagrodę Kościelskich 9 października 2010 roku w Ambasadzie Szwajcarii w Warszawie. Tym razem laureatem został Marcin Kurek, autor poematu *Oleander*. Uroczystość tę uświetniło również spotkanie laureatów z różnych lat podczas Wielkiego Nocnego Czytania w Studiu im. Agnieszki Osieckiej 3. Programu Polskiego Radia w Warszawie. Niniejszy tekst został wygłoszony właśnie w trakcie tego spotkania przez Andrzeja Buszę, pierwszego Laureata Nagrody Kościelskich z roku 1962.

Conrada na londyńskim University College. Równocześnie brałem żywy udział w polskim życiu kulturalnym, m.in. współredagując „Kontynenty” i drukując wiersze i recenzje w prasie emigracyjnej, a od czasu do czasu krajowej.

Mimo tego, iż od lata 1962 roku korzystałem z prestiżowego stypendium Uniwersytetu Londyńskiego, musiałem liczyć się z każdym groszem (pensum?), toteż nagroda im. Kościelskich bardzo mi się przydała, zwłaszcza że latem tego roku założyłem rodzinę. Wynajmowaliśmy wtedy z żoną niewielkie mieszkanie przy Landor Road w południowym Londynie (tak, to ta sama Landor Road, która występuje w wierszu Apollinaire’a *Emigrant z Landor Road*).

Pamięć mnie zawodzi i nie potrafię powiedzieć, czy wręczenie nagrody odbyło się wiosną czy jesienią 1962 roku. Pamiętam, że było zimno i padał śnieg. Program był prosty. Po stawieniu się w Genewie i wzięciu udziału w głównych uroczystościach, o ile dobrze pamiętam, przez ambasadora Kajetana Morawskiego, miałem wystąpić na wieczorze autorskim laureatów w Zurychu.

Po drodze postanowiłem odwiedzić w Bernie Jerzego Stempowskiego. Kiedy pociąg z Hoek van Holland zajechał na berneński dworzec, na peronie czekał na mnie szczupły, siwy mężczyzna w okularach w jasnych oprawkach. Dzień zszedł nam na wędrówkach po mieście. Gdy chodziliśmy z tym niezwykłym człowiekiem uliczkami berneńskiej starówki, co jakiś czas któryś z przechodniów kłaniał się z szacunkiem Herr Profesorowi. Przesiedzieliśmy przy stolikach w kilku kawiarniach, zaszliśmy też do mieszkania Pana Jerzego. Przez sześć spędzonych u Jego boku godzin wsłuchiwałem się w wykład-gawędę o karpaczkich Hucułach, o Medyceuszach, o Ligurach i Cioranie.

Nadal jest to jeden z niezapomnianych dni mojego życia, z którym uroczystości następnego dnia po prostu nie mogły się równać. Do Genewy dotarłem wieczorem. Przedstawiono mnie Janowi Rostworowskiemu, jednemu z laureatów. Kolejni – Mrozek i Brycht – nie mogli przyjechać z Polski. Podczas gdy Rostworowski był jednym z najbardziej fetowanych poetów emigracji, o mnie z publiczności zebranej w wystawnej, oświetlonej świecami, mrocznej sali, mało kto wiedział. Rostworowski podbił zebranych, wręcz tryumfował, czytając, co trzeba mu przyznać, bardzo efektownie, swoje postskamandryckie utwory. Na tym tle moje wiersze w stylu takich współczesnych poetów, jak Różewicz, Karłowicz czy Herbert, wyraźnie nie przypadły do gustu wybrednej elicie genewskiej Polonii.

W Zurychu, a mieliśmy tam ponad dwustu słuchaczy, sprawy przyjęły inny obrót. Otworzyłem występ moim kafkowskim opowiadaniem *Święto szpitalne*. Zdaje się, że groteskowy, drastyczny wręcz realizm mego tekstu poruszył salę, wytwarzając atmosferę, w której uczuciowe i wzniosłe liryki Rostworowskiego zabrzmiały patetycznie. Wracając do Anglii z poczuciem, że jednak nie zawiodłem tych członków jury, którzy głosując na mnie, zaufali jeszcze nieurealnionym możliwościom młodego poety.

Dla początkującego pisarza, zwłaszcza pisarza tworzącego we względnej próżni literackiego życia na obczyźnie, z dala od środowisk literackich, dostępu do czasopism, i w bardzo przecież ograniczonym kontakcie z czytelnikiem, darem, jaki taka nagroda przynosi, nie jest ani prestiż, ani gotówka, lecz poczucie dowartościowania. Do dziś dnia wdzięczny jestem Fundacji i Fundatorom za to wspaniałomyślne, dla mnie bezcenne, wsparcie na samym początku mojej pisarskiej drogi.